

ROZDZIAŁ II

Odprawa u Henryka Tusińskiego

27.08.1997 – środa – godz. 07:00 – 09:00

Chociaż pracę zaczynaliśmy od siódmej trzydzieści, już o siódmej byłem w swoim gabinecie mieszczącym się na drugim piętrze naszej komendy. Po jakim czasie usłyszałem, że do sekretariatu weszła Iza Łapicka¹, która pracę sekretarki zaczęła w 1994 roku, dwa tygodnie po objęciu przeze mnie funkcji naczelnika. Do wydziału kadr zgłosiła się sama w poszukiwaniu pracy po tym, kiedy po rozwodzie wyprowadziła się z jednego z niewielkich miasteczek naszego województwa. Poprzednia sekretarka przeszła na równorzędne stanowisko w nowo powstałym wydziale do walki z przestępczością zorganizowaną², wobec czego kierownictwo komendy skierowało ją na wakujące miejsce w wydziale kryminalnym.

Drzwi łączące sekretariat z moim gabinetem były zamykane tylko na czas, kiedy trwała odprawa lub pojawiali się w nim moi podwładni wezwani na rozmowy służbowe. Iza zamykała je również wtedy, kiedy odwiedzały mnie jakieś osoby spoza komendy, a przede wszystkim wtedy, kiedy pojawiał się komendant lub jego zastępcy. Dlatego, gdy tylko usłyszałem, że weszła, wezwałem ją, nie ruszając się zza biurka. Jak zwykle zatrzymała się tuż za progiem. Wchodziła dalej tylko na moją wyraźną prośbę, a ja nigdy się nie spytałem skąd u niej taki zwyczaj.

– Pani Izo, proszę przekazać chłopakom, że poszedłem do Tusińskiego, więc mają czekać. Żadnych wyjazdów w teren. Po powrocie robię odprawę całego wydziału.

Spojrzała na mnie uważnie. W jej oczach pojawiło się coś więcej niż zwykła służbowa uwaga.

– Coś poważnego, panie naczelniku?

– Bardzo, ale na pewno szybko się wszystkiego pani dowie. Teraz mogę tylko powiedzieć, że mamy dwa trupy w Parku Narodowym koło Kudowy, a w zasadzie Karłowa. Lepiej więc, żeby byli na miejscu.

Nie dopytywała. Skinęła głową i wycofała się do siebie.

Gabinet Henryka Tusińskiego przywitał mnie zapachem dymu i starej kawy. Nie musiałem się zbytnio wysilać, żeby się domyślić, że noc była dla niego długa, bo już na pierwszy rzut oka widać było, że raczej się nie wyspał. Siedział za biurkiem z nieodłącznym papierosem w ręku, a popielniczka wskazywała, że zdążył już wypalić co najmniej ze cztery sztuki. Smużka dymu z jednego niedopałka wskazywała, że znów się zapomniał i nie kończąc jednego, zapalił następnego papierosa. On po prostu już tak miał, co niekiedy było tematem „dowcipów” zarówno kolegów, jak i podwładnych. Zawsze tak robił,

¹ Nazwisko zmienione.

² Naczelnikiem takiego wydziału mieszczącego się wówczas w strukturach Komendy Wojewódzkiej, został Henryk Tusiński, dokąd przeszedł z funkcji naczelnika wydziału kryminalnego.

kiedy coś go mocno uwierało. Na biurku jak zwykle stała szklanka z czarną jak smołą kawą, zaparzoną w sposób nie wiedzieć czemu nazywany "tureckim".

– Zamknij drzwi – rzucił, wpatrując się w jakieś papiery leżące na blacie biurka.

Zanim to zrobiłem, wszedł Witek Tymoczko z Heńkiem Brudnikiem, trzymającym w ręku plik kilku kartek.

– Wziąłem Heńka – powiedział, nie wiadomo dlaczego wskazując go ręką. – Wiecie, bo mnie tam nie było...

- Dobra, w porządku. I tak kazałbym go zawołać – przerwał mu Tusiński, wydmuchując spory obłok bladego dymu.

— Zanim jednak zaczniemy — zwrócił się do mnie — chciałbym ci wyjaśnić, dlaczego to nie ty tam pojechałeś. Wiem, że byłeś gdzieś blisko, ale pomyślałem, że masz na karku już trzy zabójstwa no i mogłeś czuć się zmęczony całonocnym pobytym w Szczytnej, więc zabrałem Alka, bo miał dyżur. A Heniek – tu wskazał na Brudnika – był już chyba na Narożniku.

- Ok, nie ma sprawy – bąknąłem pod nosem, konstatuując z pewnym zdziwieniem, że przecież Brudnik był tam ze mną od rana a z tego, co mówił, wynikało wprost, że musiał się z nim jakoś skontaktować i dlatego nie zabrał dyżurującego w komendzie dochodzeniowca. Postanowiłem pozostawić to bez komentarza, bo mleko już się wylało i nie warto było tracić czasu. Tym bardziej że przyszło mi na myśl, iż informacja o tym, co ujawniono na szczycie Narożnika, wywołała w nim nagłą potrzebę pojawienia się na miejscu podwójnej zbrodni, która zapewne przez jakiś czas będzie spędzała nie tylko mnie, ale i jemu sen z powiek. Był wszak rasowym policjantem kryminalnym, który do 1990 roku bezpośrednio brał udział i osobiście kierował działaniami podległych mu funkcjonariuszy z wydziału kryminalnego dawnego Rejonowego Urzędu Spraw Wewnętrznych, czyli obecnej Komendy Miejskiej Policji w Wałbrzychu. Czułem, że jest mu jednak trochę głupio, więc tematu nie podejmowałem, a Witkowi było to akurat absolutnie obojętne. Dlatego spokojnie słuchałem dosyć krótkiego monologu, bo dobrze wiedziałem, że do Szczytnej pojechał, ponieważ pociągnęło „wilka do lasu”. Jednak to, co mówił, wzbudziło we mnie refleksję o tym, jak cienka bywa granica między doświadczeniem i przyjętymi regułami a impulsem.

Bo reguły są po coś. Zwłaszcza te najstarsze.

U nas „od zawsze” były one jasne. Przy podejrzeniu zabójstwa na miejsce wraz z grupą dyżurną składającą się z dyżurujących w komendzie policjantów z kryminalnego, dochodzeniówki i wydziału kryminalistyki, zawsze jechał naczelnik kryminalnego. Zawsze. Bo pierwszy ogląd miejsca zbrodni to nie formalność. To pamięć zapachu, ułożenia ciała, wyglądu i odgłosu terenu. Tego nie da się przeczytać z protokołu, a przecież zawsze pierwsze czynności wykonywane były przez policjantów, którymi on z racji funkcji kierował i nadzoro-

wał. Wiedza z pierwszego dnia była więc niezbędna dla ustalenia prawidłowego przebiegu dalszych działań. Dlatego jego obecność była zawsze bardziej koniecznością niż chęcią okazywania wagi i powagi stanowiska.

Wiedziałem, że on też to wie. Widziało się to w jego oczach, więc na pewno to właśnie wywołało potrzebę wytłumaczenia się. Dlatego nie podjąłem tematu, bo czasem lepiej pozwolić komuś samemu dojść do wniosków, zwłaszcza tych niewygodnych. A takie szybko musiały się pojawić, bo właśnie wtedy, kiedy jako zastępca komendanta pojawił się na miejscu i wszelkie wiążące decyzje należały do niego, podjęto i takie, które jak czas pokazał, miały znaczny wpływ na późniejszy przebieg całego śledztwa.

Jedną z takich decyzji, być może podjętą przez obecnego na miejscu prokuratora, była zgoda na to, aby uczestnicy obozu i kadra mogli następnego dnia rano opuścić Karłów. Z całą odpowiedzialnością mogę powiedzieć, że będąc na miejscu, nigdy bym się na to nie zgodził i prawdopodobnie prokurator swą zgodę z miejsca by wycofał. Ale milczenie jest niekiedy wyrazem przyzwolenia.

Ta fatalna decyzja wywołała negatywne skutki, które odczuliśmy bardzo szybko, ponieważ zarówno studenci, jak i obozowa kadra jeszcze przed naszym przybyciem do Kudowy wyjechali, pozbawiając nas możliwości natychmiastowego uzyskania niezbędnych informacji.

Po wyjaśnieniu powodów, dla których nie zostałem wezwany na Narożnik polecił Heńkowi Brudnikowi zrelacjonowanie przebiegu i efektów przeprowadzonych tam wczoraj oględzin.

Już po pierwszych zdaniach poczułem pojawiające się uczucie niepokoju, ale relacji Brudnika wysłuchałem bez żadnych komentarzy, ponieważ interesowało mnie tylko to, co zostało stwierdzone i zabezpieczone. Dobrze wiedziałem, że, tak czy owak, to na moim wydziale będzie spoczywał obowiązek wyjaśnienia tej sprawy i dostarczenia jak na talerzu Prokuraturze sprawców tej podwójnej zbrodni. Bo to, że mieliśmy do czynienia ze zbrodnią, zdawałem sobie sprawę już po wczorajszej telefonicznej rozmowie z Tusińskim. Zresztą Brudnik potwierdził to końcową uwagą, do której nikt z nas nie zgłosił żadnych zastrzeżeń.

- Nie mam żadnych wątpliwości — powiedział — że studenci padli ofiarą zabójstwa popełnionego prawdopodobnie z motywów seksualnych, na co wskazuje częściowe obnażenie obydwu ofiar. Zwłaszcza że brakuje jakichkolwiek śladów mogących sugerować, że ich śmierć mogła być efektem samobójstwa. Z ostateczną kwalifikacją musimy jednak poczekać do sekcji, która odbędzie się w szpitalu miejskim w Kłodzku.

Tą oczywistą konstatacją zakończył, ale jakby czując, że jest tego naprawdę niewiele, szybko zaznaczył, że na pewno dzisiejsze oględziny, jakie przeprowadzi przy pomocy dochodzeniowców z Kłodzka, pozwolą na zebranie większej wiedzy, a zwłaszcza śladów, jakie będzie można później w śledztwie

wykorzystać. Sądził – zresztą nie bez racji – że wiele interesujących nas informacji uzyskamy też z przesłuchania rodziców Roberta i Anny. Jednak kiedy to powiedział, wyraźnie na moment zawahał się, jakby coś nagle sobie przypomniał i nieoczekiwanie poinformował nas, że na prośbę Jerzego Kembrowskiego prokurator z Kłodzka postanowił o czasowym odstąpieniu od przesłuchania jego żony, a także żony Edwarda Odźgi.

Widząc moją dosyć gwałtowną reakcję, od razu wyjaśnił, że ojciec dziewczyny poinformował prokuratora o tym, że jego żona jest w trakcie rekonwalescencji po przebytych niedawno udarze i on obawia się, że wiadomość o śmierci córki może mieć bardzo negatywne skutki dla jej zdrowia. Stąd też prośba, aby informacja o tym, że córka nie żyje, mogła być przez jakiś czas przed żoną ukrywana, do czego prokurator odniósł się z dużą wyrozumiałością, decydując jednocześnie, że również przesłuchanie matki Roberta odbędzie się w późniejszym czasie, chociaż Marianna Odźga o śmierci syna już wiedziała.

Okazało się jednak, że i mama Anny o tragicznej śmierci córki dowiedziała się bardzo szybko i to w dosyć kontrowersyjnych okolicznościach, na które nie mieliśmy żadnego wpływu. Szkoda więc, że nikt w prokuraturze oraz w dochodzeniówce nie pomyślał, aby wykorzystując to, jak najszybciej przesłuchać obydwie matki. I musiało upłynąć kilka miesięcy, aby te przecież podstawowe dla śledztwa czynności przeprowadzić. Przyznam szczerze, że taka decyzja prokuratora była dla mnie sporym zaskoczeniem, ponieważ nie wyobrażałem sobie, abyśmy mogli podejmować czynności zmierzające do ustalenia sprawców, bez szerokiej wiedzy na temat życia obojga ofiar przed tym tragicznym zdarzeniem. Wiedziałem z doświadczenia, że w takich sprawach to zawsze matka jest dla nas kopalnią wiedzy. Konieczność uzyskania szczegółowej wiedzy o tym, co robili, jak się zachowywali, jakie i jakiego rodzaju mieli kontakty, zwłaszcza towarzyskie, gdzie i w jaki sposób spędzali wolny czas, niezależnie od tego w istotny sposób uniemożliwiła nam nieprzemyślana decyzja zezwalająca na opuszczenie obozu przez studentów, o jakiej dowiedziałem się dopiero w dniu następnym.

Informacja o odłożeniu w czasie przesłuchania matek obydwu ofiar wywołała moje spore zdziwienie, na które szybko zareagował Witek Tymoczko.

- Ty się Janusz tak nie szarp, bo w tych sprawach ani ty, ani Heniek – tu wskazał na milczącego przez cały czas Tusińskiego – ani też i ja, nie mamy nic do gadania, bo tu prokurator rządzi, jakbyś jeszcze nie wiedział.

- Panowie skończmy ten temat i róbmy swoje, a przede wszystkim jak najszybciej przesłuchajcie obydwu ojców, bo jak wiem, są już na miejscu. A ty Witek porozum się z Prokuraturą Okręgową, bo lada moment przejmie to śledztwo. Ty natomiast — zwrócił się do mnie — wykorzystaj fakt, że Międzylesie znajduje się niedaleko od Kudowy, więc szybko nawiążcie operacyjnie

kontakt z rodziną Roberta Odźgi. Jestem przekonany, że uzyskacie potrzebną nam wiedzę. Zresztą co cię będę uczył, sam wiesz.

Nie widziałem powodu, aby mu zaprzeczyć, bo doskonale wiedziałem, że i tak bardzo szybko skierujemy się do Międzyzlesia, aby od rodziny Roberta uzyskać jak najwięcej informacji, które na pewno pomogą nam w realizacji przyszłych działań operacyjnych. Natomiast czas pokazał, że chyba do rozmowy w Prokuraturze Okręgowej nie doszło, albo Witek nie miał odpowiednich argumentów, ponieważ Janina Kembrowska została przesłuchana dopiero 4 stycznia, a Marianna Odźga 3 marca 1998 roku.

- Macie coś jeszcze do zakomunikowania, bo chciałbym przejść do spraw organizacyjnych – Tusiński zwrócił się do Witka Tymoczki i Heńka Brudnika, wiedząc, że na tym etapie z oczywistych powodów jestem raczej biernym uczestnikiem narady.

- Sekcję organizuje „Docent”³, którego już pojechał do Kłodzka. Zrobi ją „Babcia”⁴, a do Wrocka wysłałem samochód – dorzucił Witek Tymoczko.

- W porządku – Tusiński krótko skwitował przekazaną mu informację, a następnie zwrócił się do mnie.

– Po odprawie zorganizujesz ekipę i zameldujecie się w Kudowie, a ja uzgodnię z Piwowarem⁵, aby wam jakieś tam miejsce wygospodarował.

Po tych słowach przekazał ważną informację o tym, że już wczoraj zapadła decyzja komendanta wojewódzkiego o powołaniu grupy, której kierownictwo będzie mi powierzone. Przyjąłem to za coś normalnego, ponieważ od 1988 roku, kiedy zostałem kierownikiem sekcji zabójstw⁶, a następnie od roku 1990, gdy zostałem zastępcą naczelnika, jak również i później już jako naczelnik zawsze stałem na czele każdej grupy operacyjnej powołanej w sprawie zabójstwa, w którym sprawca w dniu jego zgłoszenia nie był znany. Można powiedzieć, że stało się to już zwyczajem, którego nikt nie kwestionował.

Grupa w zamyśle kierownictwa miała zakwaterować się w okolicach Kudowy lub Dusznik i przebywać tam aż do odwołania. W tym czasie wydziałem miał kierować Ryszard N., mój nieetatowy zastępca, co oczywiście nie zwalniało mnie z obowiązku uczestniczenia na cooniedziątkowych odprawach komendanta wojewódzkiego z naczelnikami wydziałów i komendantami komend rejonowych oraz komendantami wałbrzyskich komisariatów. Nie miałem nic przeciwko temu, ponieważ zdawałem sobie sprawę, że w każdą sobotę późnym popołudniem będziemy wyjeżdżać do domów, więc w zasadzie z niczym mi to nie kolidowało.

3 Zbigniew Strzelczuk, który przed przejściem do dochodzeniówki był przez lata ekspertem kryminalistyki w wałbrzyskiej KWP.

4 „Babcia Ania” - tak nazywaliśmy od lat dr n. medycznych Hannę Szczęsną z Akademi Medycznej we Wrocławiu, która od wielu lat udzielała nam tego rodzaju niezbędną pomoc.

5 Andrzej Piwowar, ówczesny komendant Komisariatu Policji w Kudowie-Zdroju.

6 Sekcja I Wydziału Kryminalnego KW MO.

Okazało się również, że nawet liczba funkcjonariuszy została już z grubsza ustalona, ponieważ Tusiński poinformował mnie, że do grupy wejdą policjanci nie tylko z podległego mi wydziału, ale także z wyznaczonych komend rejonowych, wydziału do walki z narkotykami i wydziału do walki z przestępczością zorganizowaną, a także z naszej dochodzeniówki i wydziału kryminalistyki. Ludzi tych miałem wytypować osobiście i listę przedstawić do wiadomości komendantom właściwych komend i wydziałów. Mogłem też wybierać najlepszych, na co z góry miałem zgodę komendanta Muchy⁷, ale wiedziałem doskonale, że mimo wszystkich służbowych poleceń płynących w tej sprawie z komendy wojewódzkiej i tak będę miał przechłapanie, ponieważ ja będę starał się o najlepszych, a oni będą chcieli wcisnąć mi tych, którzy i tak są im na co dzień mało przydatni.

Nie mogłem jednak ukryć sporego zaskoczenia, ponieważ do tej pory czegoś takiego się nie praktykowało. Normą było, że przy wszystkich ważniejszych wydarzeniach kryminalnych, a zwłaszcza zabójstwach, napadach rabunkowych z użyciem broni palnej i tak zwanych „grubych dziesionach”⁸, komendant wojewódzki powoływał grupy składające się z reguły z trzech kryminalnych i jednego lub niekiedy tylko z dwóch dochodzeniowców, za każdym razem wyznaczając mnie na ich kierownika. W takim składzie, w którym wszyscy znaleźmy się jak łyse konie, pracowało się szybko i sprawnie, bo każdy wiedział, co ma robić, a ja sam, poza kierowaniem grupą, wykonywałem wszystkie czynności, jakie wykonuje w takich przypadkach każdy funkcjonariusz operacyjny. W takim systemie byłem na bieżąco z wszelkimi ustaleniami i wydarzeniami oraz z miejsca mogłem wydawać kolegom odpowiednie dyspozycje, zapewniając tym samym płynność i skuteczność działania grupy.

Dlatego też podjąłem próbę dokonania zmiany tej decyzji i przeforsowania propozycji zmniejszenia jej składu, aby zachować wypracowane przez nas od wielu już lat standardy.

- Heniek, po co mi tylu policjantów i to jeszcze spoza wydziału? Sami damy sobie radę – starałem się go przekonać – a tak duża grupa to tylko zapewniony bałagan. Dobrze o tym wiesz, przypomnij sobie Ludwikowice, co się działo, kiedy powołałiście kilkanaście osób do przeprowadzenia oględzin na plebanii⁹.

7 Bogusław Bogusław Mucha (08.10.2939 – 24.10.2024) Na stanowisko wałbrzyskiego komendanta wojewódzkiego Policji został mianowany na początku 1990 roku z funkcji komendanta KMP w Wałbrzych. 30 kwietnia 1998 roku złożył na ręce ministra spraw wewnętrznych Janusza Tomaszewskiego prośbę o zwolnienie, które zostało przyjęte. Tajemnicą poliszynela było, że prośba ta zastała na nim wymuszona, ponieważ nie spodobał się ministrowi z AWS, mechanikowi samochodowemu z zawodu.

8 Dziesiona - tak w dawnej gwarze milicyjnej, oraz w gwarze więziennej (grypsera), określano przestępstwo rozboju, opisane w art. 210 kodeksu karnego z 1968 roku

9 Chodzi o oględziny plebani w Ludwikowicach koło Nowej Rudy, gdzie w 1996 roku dokonano zabójstwa miejscowego proboszcza. Wówczas zdecydowano, że oględziny będą prowadzone przez trzy zmieniające się grupy i trwać będą non stop przez 24 godziny na dobę, co wydziałowi

- Ty mi tu z plebanią nie wyskakuj – nerwowo zareagował na moje słowa Witek – Dobrze wiesz, że taka była potrzeba a ty ...

- Panowie, to nie czas i miejsce na jakieś pretensje. Powołanie grupy w takim składzie zostało postanowione, bo na ten temat rozmawiałem już wczoraj wieczorem z komendantem Muchą i jego polecenie jest takie, a nie inne. Zresztą Janusz nie wydziwiaj, bo jeszcze pomyślę, że nie jesteś w stanie nią pokierować i będę zmuszony wyznaczyć kogoś innego. Może by to nawet i lepiej było, gdybyś pozostał na miejscu, a tam niech jedzie Rysiek - rzucił niby od niechcenią, ale dobrze wiedziałem, że to miało być tylko swego rodzaju dyscyplinującym dopingiem, bo obaj wiedzieliśmy, że w życiu bym się na to nie zgodził.

Henryk doskonale wiedział, że odsunięcie mnie od bezpośrednich działań, byłoby dla mnie czymś najgorszym, co mogłoby mi się w tym wydziale przydarzyć, dlatego droczył się ze mną w ten sposób, albowiem z tego właśnie powodu nie przewidywał mojego większego oporu.

- Dobrze wiesz – nie dawałem jednak za wygraną – że to jest zupełnie co innego. Przy każdej sprawie, jaką wydział prowadzi, zajmuje się nią góra czterech ludzi, a zwykle jest ich tylko dwóch. Dlaczego więc teraz ma być ich dwudziestu, czy trzydziestu? Nie bardzo to rozumiem, a obawiam się sporego bałaganu, bo co innego kierować wydziałem tu na miejscu, a co innego ogarnąć to, co będzie robić tylu mało zgranych ze sobą ludzi. I to na pewno w warunkach dla dowodzącego mało komfortowych. Dobrze o tym wiesz. Ważne jest, by nie przegapić nawet najdrobniejszego szczegółu, a przy takiej masówce to raczej pewne jak w banku. Poza tym dobrze też wiesz, że zawsze w takich przypadkach włączam się do tego, co oni robią. A przy tak rozbudowanej grupie, będę siedział za biurkiem i czytał tylko to, co mi napiszą i przyniosą – nie ustępowałem proroczo.

- No to może niech jednak Rysiek weźmie sprawę – tym razem w jego głosie wyczułem wyraźne poirytowanie moim nadmiernym gadulstwem i podważaniem decyzji szefostwa.

- Co do Ryśka, to wiesz, że mimo wszystko mam chyba w wydziale największe doświadczenie w zabójstwach, bo nie muszę ci przypominać, że zajmuję się tym nieprzerwanie od siedemnastu już lat. Rysiek niech się wprawia w samodzielne kierowanie.

- A co - złośliwie wtrącił Witek – przewidujesz jakiś swój awans po wykryciu tej sprawy?

- Na pewno prędzej ją wykryję, niż sobie to wyobrażasz, bo pamiętam jak ty ... – nie pozostałem mu dłużny, co wywołało natychmiastową reakcję Heńka.

- Słuchajcie, to nie jarmark, a ty przestań człowieku zawracać mi głowę. Masz powołać grupę, bo tak jest postanowione, więc zabierajcie się za robotę, bo ja muszę dzwonić do Biura i złożyć meldunek Nęckiemu¹⁰ – Tusiński przerwał mi bezceremonialnie, wiedząc, że między mną a Witkiem chemii nie było.

- I jest jeszcze jedna sprawa, o której bym prawie zapomniał – powstrzymał nas ruchem ręki od podniesienia się z krzesel.

- Macie po całkowitym zakończeniu oględzin zorganizować, i to jak najszybciej, szerszą penetrację całego obszaru Narożnika. Bo sprawcy jakoś się tam musieli dostać i go opuścić, a więc jakieś ślady musieli pozostawić. Dlatego też – tu zwrócił się do Witka – zorganizujesz taką penetrację i dobrze by było, aby wspomogła nas Straż Graniczna, albo ci z Batalionu Piechoty Górskiej. Jest to robota na jutro, więc się sprężaj.

Tę decyzję Heńka przyjąłem z wielkim zadowoleniem, ponieważ jeden kłopot spadł z mojej głowy, ale reakcja Witka bez wątpienia wskazywała, że byłby bardziej zadowolony, gdybym to ja musiał to organizować. I kiedy zdało się, że odprawa zmierza ku końcowi, Heńkowi przypomniało się, że jest jeszcze jedna istotna sprawa do załatwienia i kiedy Witek chciał się chyba odnieść do wydanego mu polecenia, przerwał mu i polecił nam, abysmy jak najszybciej wyznaczili prowadzącego rozpracowanie oraz śledztwo.

Na prowadzącego rozpracowanie operacyjne, miałem tylko jednego kandydata, na którego Henryk zgodził się w zasadzie od razu. Uznaliśmy, że w sytuacji, kiedy ja będąc naczelnikiem wydziału, nie mogą prowadzić żadnych czynności operacyjnych, rozpracowanie zostanie przypisane Jurkowi Krzanowi, co zresztą było tylko zwykłą formalnością. Jako kierownik grupy i tak miałem odpowiadać za jej funkcjonowanie i wszystkie podejmowane w jej ramach decyzje. Słyszac to, Witek od razu zadecydował, że prowadzenie śledztwa zostanie przydzielone „Docentowi”.

O ile decyzji Witka dotyczącej obecności „Docenta” przy prowadzonej sekcji zwłok byłem zadowolony, to jednak decyzja, że to on będzie prowadzącym śledztwo, nie bardzo mnie ucieszyła, bo jego fachowość z zakresu kryminalistyki nie szła niestety w parze z darem zrozumienia naszych potrzeb operacyjnych. Bardzo często zdarzało się, że nie informował nas o tym, co dzięki przesłuchaniu się dowiedział, przez co niekiedy wykonywaliśmy jakieś zbędne czynności, lub nie robiliśmy na czas tego, co akurat było absolutnie niezbędne. Niekiedy dochodziło do ostrej wymiany zdań, zwłaszcza wtedy, kiedy jego adwersarzami byli ci, którzy do wydziału kryminalnego przyszli spoza komendy wojewódzkiej po 1990 roku, z którymi nie umiał nawiązać tak dobrych, czy

10 Jerzy Nęcki - poznałem go w 1985 roku przy realizacji mojego rozpracowania krypt. „Wernisaż” dot. zabójstwa jednej z mieszkanki Dzierżoniowa, w czasie gdy był zastępcą Piotra Anioły, naczelnika wydziału kryminalnego WUSW we Wrocławiu. W wydziale tym służył przez 32 lata, a ostatecznie sześć lat służby spędził na stanowisku dyrektora Biura Służby Kryminalnej Komendy Głównej Policji w Warszawie.

choćby poprawnych kontaktów, jak z nami, wywodzącymi się z byłej KW MO. Ponadto – o czym wiedziałem doskonale – „Docent” nie błyszczał jako dochodzeniowiec, ponieważ nie miał tej specyficznej smykałki pozwalającej policjantowi na złapanie kontaktu ze świadkiem, a nawet z podejrzanym, ani też nie potrafił tak zaplanować przebieg przesłuchania, zastosować tak zwanego krzyżowego systemu pytań, aby przesłuchiwany nawet mimowolnie ujawnił coś, na czym szczególnie zależało przesłuchującemu. Najgorsze jednak było to, że dosyć często zdarzało mu się o czymś dla nas istotnym po prostu zapomnieć.

Do dochodzeniówki trafił w 1981 lub 1982 roku z wydziału kryminalistyki komendy wojewódzkiej, w wyniku konfliktu z płk Walewskim, naczelnikiem tego wydziału, długoletnim i bardzo doświadczonym w tej dziedzinie funkcjonariuszem MO. Z tego, co słyszałem, to podczas kolejnej już wymiany zdań na tematy dotyczące wiedzy z zakresu kryminalistyki, płk Walewski nie zdierżył i „zapropozował” mu zmianę wydziału. „Docentowi” nie pozostało nic innego, jak tylko z propozycji tej skorzystać. Po tym, jak Witek został naczelnikiem dochodzeniówki, taki ktoś jak „Docent” był mu bardzo na rękę, ponieważ, co by o nim nie mówić, to jednak wiedzę kryminalistyczną miał w zasa-
dzie w jednym palcu, czego o Witku powiedzieć raczej nie można było.

Witka znałem jeszcze ze studenckich czasów, kiedy byliśmy na jednym roku Wydziału Prawa Uniwersytetu Wrocławskiego, ale bliższą znajomość zawarliśmy dopiero w komendzie okolicach 1982 lub 1983 roku. Jako były prokurator był doskonałym znawcą całej procedury karnej, ale pierwszoliniowym policjantem nigdy nie był i doświadczenia policyjnego nie miał żadnego, bo nawet nie przeszedł podstawowego policyjnego szkolenia. Po studiach i aplikacji został prokuratorem w Prokuraturze Powiatowej w Wałbrzychu, ale po tym, jak utracono mu prawie pewny awans na szefa tej jednostki, przeniósł się do wydziału dochodzeniowo-śledczego KW MO, gdzie powierzono mu stanowiska naczelnika. Jednocześnie ówczesny komendant wojewódzki płk Leszek Lamparski¹¹ pomógł mu w uznaniu wojskowego stopnia oficerskiego, jaki uzyskał po ukończeniu Studium Wojskowego¹² na Uniwersytecie Wrocławskim i tak narodził się nowy porucznik Milicji Obywatelskiej, gotowy do uzyskania kolejnych stopni oficerskich.

Chociaż wyznaczenie „Docenta” do prowadzenia śledztwa nie bardzo mi pasowało, to jednak nie zgłosiłem żadnych uwag, przez co po jakimś czasie mocno sobie plułem w brodę. Na moje usprawiedliwienie mogę tylko powiedzieć, że nie przypuszczałem, że prowadząc to śledztwo, prawie nigdy nie po-
fatyguje się do siedziby grupy operacyjnej i nigdy nie przedstawi nam żadnej

11 Obecnie policyjny generał (inspektor generalny), pierwszy Komendant Główny Policji.

12 Ja się z tego Studium po drugim roku „urwałem”, załatwiając sobie kategorię wojskową „D”, przez co po wstąpieniu do MO nawet marzyć nie mogłem o stopniu oficerskim bez ukończenia Studium Podypłomowego Akademii Spraw Wewnętrznych.

analizy dotyczącej pozyskanych materiałów procesowych. Mało tego, taka analiza dla potrzeb naszego rozpracowania operacyjnego nigdy w wydziale dochodzeniowym nie została opracowana¹³ i nigdy nie uzyskaliśmy, chociażby jednej wskazówki wypływającej z treści prowadzonych czynności procesowych jakiegokolwiek rodzaju.

Na marginesie tylko wspomnę, że w naszej komendzie nienaruszalnym zwyczajem było, że policjant prowadzący śledztwo zawsze był członkiem powoływanej grupy operacyjno-śledczej.¹⁴ Chodziło o to, aby kierujący czynnościami operacyjnymi, które ze swej natury zawsze wyprzedzały podejmowane czynności procesowe, był stale i na bieżąco w bezpośrednim kontakcie z takim dochodzeniowcem i wszystko, co grupa miałaby realizować, było między nimi od ręki uzgadniane. Tak, aby prawica wiedziała, co lewica czyni. Czas pokazał, że w tej sprawie każdy wydział działał na swój strój, ale po tym później.

Kiedy wszystko zostało omówione, a niezbędne polecenia wydane, Henryk zakończył odprawę, informując mnie, że przed wyjazdem do Kudowy, chciałby się spotkać z całą wałbrzyską częścią grupy, więc zobowiązałem się, że go powiadomię, jak już wszyscy będą w wydziale. Po tym poleceniu odprawa dobiegła końca, a ja po opuszczeniu jego gabinetu, idąc do siebie, jeszcze przez chwilę rozmawiałem z Brudnikiem, który pokrótce przedstawił mi swoje wstępne uwagi, jakich w trakcie odprawy nie poruszył.

Otóż zakładał też, że być może mamy do czynienia z zabójstwem na tle rabunkowym, na co wskazywać może brak plecaków, a sprawcy tylko dla utrudnienia upozorowali tło seksualne. Jeżeli tak było, to świadczyłoby o pewnym stopniu ich przestępczego profesjonalizmu, co winno być dla nas ważną wskazówką. Miał także pewne wątpliwości, czy uda się ustalić faktyczną przyczynę zgonu, albowiem widział, w jakim stanie znajdowały się zwłoki, chyba że będą jakieś urazy czaszki lub kości albo że zachowały się organy wewnętrzne. Ta ostatnia wątpliwość wynikała z tego, że wiadomym nam było, na podstawie długoletniej praktyki, że zwłoki w stanie silnego rozkładu wszystkiego nam „nie powiedzą”, a dla nas każda, nawet najdrobniejsza, informacja byłaby niezwykle istotna.

Poinformował mnie też, że to on przesłucha ojca zamordowanej dziewczyny, a przesłuchanie ojca chłopaka oraz pozostałych członków rodziny, przeprowadzi Piotr Bartosik¹⁵, z którym zaraz wyjedzie do Kłodzka. Planował też, że po przesłuchaniu pojedzie na Narożnik, aby się włączyć do dokończenia oględzin, które o 10. rozpoczną chłopaki z Kłodzka.

13 W aktach sprawy znajduje się jedynie analiza kończąca śledztwo, sporządzona przez nadzorującego go prokuratora, ale i ona budziła i budzi nadal moje wątpliwości co do swej merytorycznej zawartości.

14 Zwyczaj taki ukształtował się w naszej komendzie, wbrew obowiązującej wówczas instrukcji dochodzeniowo-śledczej, już w latach 80-tych XX wieku.

15 Piotr Bartosik – w grupie operacyjnej „Narożnik” od 27 sierpnia do 31 grudnia 1997 roku.

Kiedy wróciłem do swojego pokoju i zanim pojawili się moi podwładni, naszała mnie jednak chwila refleksji nad tym, co usłyszałem podczas narady u Henryka Tusińskiego. Były to myśli, do których później wielokrotnie wracałem – zarówno w rozmowach z „Dziadkiem”, jak i z Jurkiem Krzanem.

Przede wszystkim nie dawał mi spokoju fakt, że oględziny przeprowadzono praktycznie wieczorem, bo o godzinie 19:00, a przecież w terenie górskim i silnie zalesionym widoczność o tej porze gwałtownie się pogarsza, co skuteczności oględzin na pewno nie służy. Jakoś dziwnie to wszystko wyglądało, zwłaszcza fakt, że doświadczeni funkcjonariusze zdecydowali się na prowadzenie tak kluczowych czynności w warunkach, które z góry ograniczały możliwość prawidłowego ujawnienia i zabezpieczenia śladów, gdy bezspornie mieli do czynienia z podwójnym zabójstwem. Bez wątpliwości wskazywało na to rozneglizowanie dolnych partii ciał obu ofiar. Dziwiłem się, bo przecież już po kilku miesiącach służby w pionie kryminalnym wiedziałem, że o powodzeniu śledztwa w decydującym stopniu przesądzają ślady ujawnione i właściwie zabezpieczone na miejscu zdarzenia. Bo to one stanowią fundament późniejszego udowodnienia winy sprawcy. Najcenniejsze z nich często nie są widoczne na pierwszy rzut oka – właśnie dlatego sprawcy ich nie usuwają, nie zdając sobie sprawy z ich istnienia. Dlatego spodziewałem się oględzin przeprowadzonych w pełnym świetle dnia, z udziałem grupy dochodzeniowej oraz specjalistów kryminalistyki, przy wykorzystaniu pełnej techniki kryminalistycznej. Wszak oględziny miejsca zbrodni popełnionej w lesie są, a przynajmniej powinny być, diametralnie różne od tych popełnionych w pomieszczeniach zamkniętych, czy na ulicy, placu lub podwórku. Tymczasem dowiedziałem się, że przeprowadzenie ich w porze przedwieczornej i w lesie było dziełem czterech funkcjonariuszy. Co prawda zaplanowano ich kontynuację następnego dnia, jednak – jak miało się wkrótce okazać – sposób ich przeprowadzenia budził jeszcze większe wątpliwości.

Truizmem z mojej strony jest stwierdzenie, że oględziny miejsca znalezienia zwłok ludzkich w każdym rozpoczynającym się śledztwie mają znaczenie fundamentalne. Podkreślam jednak to szczególnie, ponieważ są jednym z najważniejszych, a często niepowtarzalnych, źródeł dowodowych. To od ich rzetelnego, fachowego i zgodnego z zasadami kryminalistyki przeprowadzenia zależy skuteczność całego postępowania karnego, a także prawidłowa kwalifikacja prawna zdarzenia. Wszelkie późniejsze ustalenia mają charakter wtórny, opierają się bowiem na materiale dowodowym zabezpieczonym właśnie w tej początkowej fazie.

I nawet gdybym nie chciał za popełnione błędy obciążać moich kolegów z pionu dochodzeniowego i kryminalistyki, to muszę zwrócić uwagę na to, że nie zawsze dostatecznie wybrzmiewa fakt, że to oni ponoszą pełną odpowiedzialność za jakość przeprowadzonych oględzin. Znajduje to swoje odzwierciedlenie w praktyce, zgodnie z którą policjanci operacyjni uczestniczą w oglę-

dzinach zasadniczo jedynie w charakterze obserwatorów. Owszem, zdarzały się sytuacje, w których aktywnie wspierali dochodzeniowców, jednak zawsze w roli pomocniczej i wyłącznie na ich polecenie. Rygorystycznego przestrzegania tych zasad pilnował szczególnie Witek Tymoczko, który był na tym punkcie wyczulony i za każdym razem, gdy którykolwiek z operacyjnych próbował wpływać na sposób i przebieg oględzin, zgłaszał u komendanta stanowczą interwencję. Nawet wówczas, kiedy prokurator nie widział w tym niczego nie stosownego, bo dla niego ważne było tylko to, aby ujawnione ślady zostały fachowo zebrane i zabezpieczone przez funkcjonariusza z pionu kryminalistyki.

Mając tego pełną świadomość – wszak przez siedemnaście lat zajmowałem się ustalaniem sprawców przestępstw oraz ujawnianiem dowodów, które następnie były procesowo zabezpieczane przez funkcjonariuszy pionu dochodzeniowo-śledczego i kryminalistyki – przysłuchując się relacji Heńka Brudnika, byłem przekonany, że oględziny zostały przeprowadzone w sposób profesjonalny, zgodnie z obowiązującymi procedurami i zasadami sztuki kryminalistycznej. Wierzyłem w to, bo nie miałem w tym momencie żadnych podstaw, aby zgłaszać jakiegokolwiek uwagi.

Niestety, dość szybko przyszło mi usłyszeć skrzek rzeczywistości. Stało się to w momencie, gdy zapoznałem się z przekazaną mi dokumentacją wszystkich działań realizowanych w tym i następnym dniu przez – jak się okazało – wielu funkcjonariuszy. Wówczas zrozumiałem, że oględziny miejsca zbrodni, a także inne czynności będące ich bezpośrednią konsekwencją, zostały przeprowadzone w sposób wręcz rażąco nieprawidłowy. Skutkiem tego pozbawiono nas szeregu informacji, które mogły i powinny zostać ujawnione, a które przy profesjonalnie przeprowadzonych oględzinach miałyby istotne znaczenie dowodowe.

Aby jednak w pełni zrozumieć skalę tych zaniedbań, konieczne jest szczegółowe omówienie rodzaju oraz sposobu przeprowadzenia czynności realizowanych w dniach od 26 do 29 sierpnia przez osoby zaangażowane w sprawę – nie tylko funkcjonariuszy komendy wojewódzkiej i rejonowej, lecz również osób niemających z Policją nic wspólnego.